

Przypadek Edwarda Prusa

albo o pewnych meandrach stosunków polsko-ukraińskich

Od pewnego czasu wrocławskie wydawnictwo *Nortom* wydaje jedną po drugiej książki prof. **Edwarda Prusa**. Nie są to prace nawet popularnonaukowe, lecz pamflety wymierzone zarówno w ukraiński ruch narodowy (a pośrednio w cały naród ukraiński), jak i w Polaków dążących do prawdy i pojednania w stosunkach polsko-ukraińskich. Profesor Prus ma dla tych ostatnich pogardliwe miano „ukrainców” i przypisuje im agenturalną zależność od emigracyjnej **Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów**. Ostatnio przestał nawet mówić o „prawdziwych Polakach”, lecz zaczął o „Lechitach”.

Sam Edward Prus jest postacią dość wieloznaczną i bodaj tragiczną. Pochodzący z Załoziec nad Seretem (Tarnopolszczyzna), przeżył we wczesnej młodości potworności okupacji i terroru banderowskiego, nim został wygnany ze stron rodzinnych. Następnie był (szczerze czy udanie, Bóg jeden wie) komunistą, pracował jako nauczyciel akademicki, wychwalał światowy ruch komunistyczny i ideologię marksistowsko-leninowską. Napisał kilka prac naukowych — lub raczej o pozorach naukowości — oraz popularnonaukowych poświęconych ukraińskiemu ruchowi nacjonalistycznemu. Był konsultantem Służby Bezpieczeństwa PRL do spraw ukraińskich. Cięży też na nim poważne podejrzenie o współpracę z sowieckimi służbami specjalnymi. Ostatnio założył własną partię, **Polskie Stronnictwo Kresowe**, rozbijając w ten sposób polski ruch kresowiacki. A jego najnowsze prace świadczą o tym, że ich autor pogrąży się w chorobie psychicznej.

W twórczości — jeśli rzecz można tak nazwać — E. Prusa trudno oddzielić nie tyle prawdę od fałszu, co zmyślenie od manii. Autor z uporem od wielu lat forsuje absurdalną wręcz liczbę ofiar UPA (polskich i żydowskich), nie zdając sobie chyba sprawy, że przypisując UPA zgładzenie półtora miliona Żydów rozgrzesza III Rzeszę. Pisze o wydarzeniach, które nie miały miejsca, powołuje się na nieistniejące dokumenty (i to w pracach o naukowym, nie publicystycznym charakterze), przepisując fragmenty z sowieckich wydawnictw propagandowych nie troszczy się o nadanie im poprawnej szaty językowej (uderzające ukrainizmy zdradzają miejsca tych nie oznaczonych cytatów) itd., itp.

Stara szkoła komunistyczna nie poszła jednak w las — zgodnie z nią E. Prus starannie oddziela „ukraińskich nacjonalistów” od „narodu ukraińskiego”. Zdawałoby się, rzecz chwalebna; UPA zresztą rzeczywiście cieszyła się poparciem niewielkiej części narodu ukraińskiego, choć też wcale nie tak nieznaczej. Ale jak diabli ogon spod ornatu wyłazi raz po raz śmiertelna nienawiść autora do Ukraińców w ogóle, choćby tam, gdzie — wcale często — pisze on o Kozakach Zaporoskich z XVII wieku jako wzorcu postępowania dla współczesnych nacjonalistów czy o „rzeziach hajdamackich”. Sympatie autora są po stronie „dobrych” Ukraińców — tych nie tyle znad Dniepru, co z Sowietów. Ale też tylko o tyle, o ile idą oni drogą wyznaczoną przez „starszego brata”...

Niestety, w wywodach E. Prusa jest ziarno prawdy. Ukraińska Powstańcza Armia w latach 1943–46 istotnie dopuściła się straszliwych zbrodni na ludności cywilnej polskiej, żydowskiej i ukraińskiej (liczba jej polskich ofiar może sięgać 100 tys., lecz nie więcej). Pogrobowcy UPA rzeczywiście działają wśród ukraińskiej diaspory; są dość wpływowi

i różnymi sposobami starają się dyskredytować Polskę. Są też na świecie liczne ośrodki dążące do tego celu m.in. przez obarczanie Polski i Polaków częścią winy za Szoah — i jest dość prawdopodobne, że działalność tych ośrodków jest w pewnej mierze skoordynowana.

Ale rozpowszechnianie takich „dokumentów”, jak wysmażona najprawdopodobniej w Moskwie rzekoma uchwała **Krajowego Prowodu** (kierownictwa) OUN z 1990 r. tylko utrudnia rozpoznanie rzeczywistych zagrożeń i racjonalną z nimi walkę. Po 1952 r. na Ukrainie nie istniały struktury Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, a lektura samego dokumentu — znanego z dość szeroko kolportowanego „streszczenia” w języku polskim (w moim przekonaniu jest to jedyny istniejący tekst) — nie pozostawia wątpliwości, że jest to prowokacyjna fałszywka. Znam język oryginalnych dokumentów współczesnych organizacji postounowskich — i jest on zupełnie inny.

Podobnie wiele szkody pojednaniu polsko-ukraińskiemu i dochodzeniu do prawdy o tamtych wydarzeniach przyniosło puszczenie w obieg spreparowanej (najprawdopodobniej przez samego prof. Prusa) wypowiedzi prezydenta Ukrainy, **L. Krawczuka**, w której miał on przyznawać, że UPA wymordowała na Ukrainie pół miliona Polaków. Prezydent Ukrainy nic takiego nie powiedział. A kłamstwo nie może służyć prawdzie. Nigdzie i nigdy.

Skończmy jednak z p. Prusem. Gdyby chodziło tylko o niego i o grupkę podobnych mu starych ludzi, rzecz nie byłaby godna uwagi. Ale, niestety, poglądy te znajdują odzew także w młodym pokoleniu i „przekładają się” na konkretne czyny, także na akty przemocy.

Lata 40. przyniosły tragedię wielu narodom Europy Środkowej, wśród nich Polakom; jednym z jej elementów było wypędzenie z ziem odłączonych od Polski milionów naszych rodaków (z samej Ukrainy ok. 800 tysięcy). I nie można tamtemu pokoleniu odmówić prawa do żalu, tęsknoty, nawet do nienawiści. Chwała tym, którzy potrafili się ponad nie wznieść — ale trzeba zrozumieć pozostałych. Następne pokolenia (z których pierwsze nie jest już młode) nie mają takiego usprawiedliwienia. Tym bardziej, że i spośród wypędzonych z kresów daleko nie wszyscy odnajdują się w szeregach różnych organizacji „kresowiackich” — dość zresztą zróżnicowanych, także politycznie. Swe domy na kresach stracili także **Jacek Kuroń**, **Stanisław Lem** i **Aleksander Małachowski**. A weterani **Wołyńskiej Dywizji AK**, którzy bezpośrednio, krwawo walczyli z UPA i najwięcej wiedzą o jej zbrodniach, potrafili — w imię dążenia do prawdy, szukania drogi do przyszłości — spotkać się w zeszłym roku nie tylko z ukraińskimi historykami, ale i z weteranami UPA, śmiertelnymi wrogami sprzed półwiecza. I choć nic nie zostało wybaczone ani zapomniane, choć nie był to gest pojednania — uczyniony został bardzo ważny krok ku przezwyciężeniu doświadczenia wrogości, ciężącego nad obu narodami.

Można więc, jak widać, stanąć ponad osobistym doświadczeniem ograbienia ze stron rodzinnych i najpiękniejszych lat życia, utraty bliskich i przyjaciół. Przebaczyć, nawet jeśli nie można zapomnieć — jak to wyraził prof. **Ryszard Torzecki**. I stanąć po stronie przyszłości, ponad historią, choć nie poza nią. Tak, by przyszłość była trochę lepsza od dnia dzisiejszego.

Nie znaczy to, by historia mogła być zapomniana. Jest coś z prawdy w twierdzeniu, że narody, które zapominają własną historię, skazane są na jej powtarzanie. Ale też historia nie może być bezpośrednim drogowskazem polityki, myślenia o teraźniejszości i przyszłości. To właśnie podstawowy błąd większości polskich narodowców, którzy wciąż myślą o Polsce, Niemczech i Rosji (a także o Ukraińcach i Żydach) kategoriami **Romana Dmowskiego**, wypracowanymi na przełomie XIX i XX wieku. Kategoriami, w których nic właściwie nie odpowiada współczesnemu stanowi rzeczy.

Stosunki między Polakami a Ukraińcami (dawniej: Rusinami) na przestrzeni wieków — wbrew stereotypom — niewiele odbiegały od przeciętnej danej epoki. Okropieństwa wojen kozackich niewiele różnią się od „normy” wojny trzydziestoletniej, bestialstwo Koliwyszczyzny i polskiego odwetu (druga poł. XVIII w.) błędną przy niewiele późniejszym tłumieniu powstania w Wandei, krwawy terror lat 40. to zaledwie odprysk ówczesnych zbrodni nazistów i bolszewików. A jednocześnie cały czas byliśmy sobie bliscy, nasze narody i kultury spletały się i wzbogacały. W polszczyźnie są setki słów pochodzenia ukraińskiego, a w ukraińskim — polskie. Tysiące rodzin polskich ma korzenie ukraińskie, tysiące rodzin ukraińskich — polskie. Jak to zazwyczaj bywa między sąsiadującymi narodami.

Dziś — wyjąwszy mniejszości narodowe — żyjemy w dwóch suwerennych państwach, borykających się z dość podobnymi problemami, żywiącymi dość podobne nadzieje. Żyjemy w pokoju i nic nie wskazuje na to, by mógł on zostać zburzony. To wielkie dobro. Ale pokój trzeba pielęgnować — nie tylko na szczeblu państwowym, politycznym, ale też na szczeblu społecznym, obywatelskim; między innymi zwalczając szowinizm i jego roszczenia, tak po polskiej, jak i po ukraińskiej stronie.

Musimy tu jednak przeciwstawić się dwom radykalizmom. Szowinistycznemu (nieważne, czy to szowinizm), który dąży do budowy państwa jednolitego narodowo — państwa „prawdziwków”, oraz eurokosmopolityzmowi dążącemu do zatarcia różnic między narodami — do tego, by we wszystkich językach wyrażana była ta sama „kultura europejska”. W praktyce zwolennicy tego poglądu skłonni są do nie kontrolowanych ustępstw na rzecz „obcych” szowinizmów w imię walki z „własnym” (tj. narodu, do którego należą). Nie dostrzegają oni, że w ten sposób dostarczają argumentów właśnie szowinistom (a także antysemitom, gdyż eurokosmopolityzm jest przez nich uważany za przejaw „żydowskiego spisku”). Co więcej — wbrew mniemaniu jego głosicieli — eurokosmopolityzm jest radykalnie antyeuropejski, gdyż cywilizacja europejska od dnia swego zarania jest wspólnotą różnych narodów: nie tylko języków, ale i kultur, mentalności, dorobków duchowych. I niczym innym być nie może. Próba zatarcia tego zróżnicowania, zastąpienia dynamicznej równowagi wielokulturowości statyczną równowagą „kultury europejskiej” musi prowadzić do zniszczenia naszej cywilizacji.

Nie tylko dla Polaków i Ukraińców jest kwestią życiowej wagi, by ich kultury trwały i rozwijały się, zachowując swą niepowtarzalną indywidualność, nieredukowalną ani do żadnej innej, ani do wymyślonego „europejskiego” mianownika. Aby mogły się nadal wzajemnie wzbogacać — tak jak w przeszłości, gdy na ich styku zrodziła się twórczość **Słowackiego**, a później **Vincenza**. Jest to ważne dla kultury światowej, która zostałaby uszczuplona, gdyby np. Ukraińcy stali się Polakami (albo Europejczykami) we wszystkim oprócz języka. To zresztą zupełna utopia: nieredukowalne różnice kultur istnieją już na poziomie języka, żadne dwa języki nie są w pełni przetłumaczalne — zatem taka redukcja musiałaby oznaczać także okaleczenie samych języków.

Wróćmy do kwestii mniej teoretycznych. Wśród polskich środowisk antyukraińskich często nie rozróżnia się nawet

Ukraińca od ukraińskiego nacjonalisty, powielając rosyjsko-polski stereotyp, zgodnie z którym Ukraińiec jest szowinistą, ponieważ chce być Ukraińcem (a nie — Rosjaninem lub Polakiem). Wciąż też pokutuje endecki stereotyp, że Ukraińcy muszą (!) sprzymierzyć się z Niemcami przeciwko Polsce. To właśnie wyrażają obłąkańcze ulotki sprzeciwiające się swego czasu powstaniu państwa ukraińskiego oraz hasła skierowane przeciw ukraińskiemu festiwalowi w Przemyślu, a także... polskiemu festiwalowi we Lwowie organizowanemu pod patronatem najwyższych władz Rzeczypospolitej (zdaniem inicjatorów tej kampanii, festiwal był dziełem agentury ukraińskich nacjonalistów w Polsce). Stąd też bierze się paskudna, rozłożona na wiele etapów, antyukraińska akcja „organizacji patriotycznych” z Przemyśla, w ramach której posunięto się do żądania rozwiązania Związku Ukraińców w Polsce. Nie mam pewności, ale sądzę, że prof. Prus ma wiele wspólnego z jej organizatorami. Jej elementem był m.in. akt bezmyślnego barbarzyństwa: rozbiórka kopuły przemyskiego kościoła oo. Karmelitów. Nie tylko obraził on Ukraińców w Polsce i poza nią (kościół ten był dawniej katedrą grekokatolicką, oni też wzniesli kopułę), ale wyrządził krzywdę Polsce i Polakom, odzierając Przemyśl z bodaj najbardziej wyrazistego elementu panoramy miasta. Nie mówiąc już o obrażającej zdrowy rozsądek argumentacji, że ta „cerkiewna” kopuła była elementem kulturowo obcym w katolickim mieście. Kopuła wzniesiona przez grekokatolików nad ich ówczesną katedrą jest bowiem miniaturą kopuły wieńczącej Bazylikę Piotrową w Rzymie. Nie, nie jest — była. Nie da się już jej odtworzyć.

I nie są to tylko działania ludzi stojących nad grobem. Oni mogą drukować ulotki i pisać memoriały, ale nie oni malują antyukraińskie graffiti. A było ich w Przemyślu do woli — nowoczesnych w formie, zdradzających bardzo młodych autorów. I to nie starszokwie, lecz młodzieńcy próbowali najpierw podpalić biuro Festiwalu Kultury Ukraińskiej w Przemyślu (w 1995 r.), a potem wrzucili bombę do internatu, gdzie spali jego uczestnicy. Ta ostatnia sprawa została zbagatelizowana przez media, zapewne dlatego, że — cudem! — obyło się bez ofiar. Bombę (a nie petardę, jak podawano) wrzucono do pokoju, gdzie spał tylko jeden chłopak — pozostali nie wrócili jeszcze z miasta — i wtoczyła się ona pod metalową szafkę. Gdyby nie to, ten chłopak byłby martwy; a gdyby jego koledzy wrócili wcześniej, mogło być kilkanaście ofiar. Wiadomo, że sprawcami zamachu była grupa młodych ludzi — zostali oni nawet zatrzymani przez policję. Dalszego przebiegu wydarzeń nie znam, ale procesu chyba nie było.

Tymczasem zbliża się kolejny Festiwal Kultury Ukraińskiej, ma się on odbyć latem tego roku w Przemyślu. A jest to rok 50. rocznicy Akcji „Wisła” — wysiedlenia polskich obywateli narodowości ukraińskiej z ich ziem rodzinnych na zachód i północ Polski. Przyznam, że jestem pełen obaw — możemy mieć do czynienia nie tylko z nową kampanią propagandową, ale i z nowymi prowokacjami, napadami etc. Tym bardziej, że także po stronie ukraińskiej nie brak kół sprzeciwiających się procesowi porozumienia i pojednania, które — podobnie, jak środowiska polskie, o których tu mówimy — próbują zarażać kolejne pokolenia nienawiścią, z której same nie potrafią się wyzwolić.

TADEUSZ ANDRZEJ OLSZAŃSKI

MUZYKA UKRAIŃSKA

SCENA NIEZALEŻNA UNDERGROUND FOLK etc

KOKA ul. Kościeliska 7 03-114 Warszawa

dla ucha, ciała i ducha